

BIESZCZADY W PRL-u 1

Krzysztof Potaczała



BOSZ
Bieszczady

Krzysztof Potaczała

BIESZCZADY W PRL-u 1



BOSZ

Wydawca

BOSZ Szymanik i wspólnicy sp. jawna

Biuro: ul. Przemysłowa 14, 38-600 Lesko

tel. +48 13 469 90 00, faks +48 13 469 61 88

biuro@bosz.com.pl

www.bosz.com.pl

Spis treści

Od Autora	5
Stalin rozerwany końmi	9
Wilk wyjęty spod prawa	19
Azyl na szczytach Trójcy	31
Hotel pod Jeleniowatym	51
Niedźwiedzie pod lufami dygnitarzy	73
Niech żyje przyjaźń polsko-radziecka!	83
Jak górale gazdowali pod połoninami	91
Wszystko pochłonie woda	103
Z kilofem na Bieszczady	111
Obrazki z poplątanych ścieżek	131
Łowcy węży znad Sanu	145
Skradzione ikony, przetopione dzwony...	153
Ziemia odsłania kości, bunkry, broń...	163
Uwięzieni przez biały żywioł	173
Kowboje górskich bezdroży i szos	183
Na tropach „króla puszczy”	193
Filmowy najazd	207
W obronie wymazanych nazw	219
Chłopski bunt	231
Pan na Arłamowie	243
Kościół wzniesiony na cmentarzu	263
Wybrana literatura	271

i początkiem siedemdziesiątych, niemało osób niezwiązanych z leśnictwem czy łowiectwem. Im jednak nie chodziło najbardziej o odbudowę stad jeleni, saren i dzików, lecz głównie o pieniądze. Każdy, kto w jakikolwiek sposób zabił wilka i przedstawił dowód (czaszkę, skórę, całe zwierzę) miał wypłacaną przez nadleśnictwo premię. W zależności od lat jej wysokość kształtowała się różnie – początkowo była to równowartość połowy średniej pensji, a później nawet miesięcznych poborów. – Największa premia wynosiła bodaj trzy tysiące złotych – mówi Stefan Dyrda. – Tylko że o ile zwykły kłusownik zakładał sidła i szedł do lasu tylko je sprawdzić, to my, myśliwi, musieliśmy na tę nagrodę bardzo mocno pracować. Poza tym żaden szanujący się łowca, a za takich się uważaliśmy, nie zniżyłby się do chwytania wilków w pospolite wnyki.

Tadeusz Zajac: – Nagrody pieniężne były dla nas swego rodzaju rekompensatą za tę mordęgę. Bo to była mordęga, a nie, jak się niektórym wydawało i wydaje, polowanko. Kiedyś za ustrzelonego wilka dostałem półtora tysiąca złotych, a jako zastępca nadleśniczego zarabiałem niecały tysiąc. Za dwie premie kupiłem sobie pierwszy sztucer, ale wcześniej przesiedziałem na ambonie dwadzieścia siedem nocy...

Z końcowego raportu na temat akcji wilczej: „Stan wilków na terenie województwa rzeszowskiego do 1956 roku wynosił ponad 200 sztuk, zaś w 1970 roku obniżył się do 44 (...). Od roku 1956 do 31 marca 1971 ubito 1118 sztuk. Łącznie zarejestrowano 1241 zlikwidowanych wilków, przy czym pewna ilość padła po spożyciu trucizny lub zranieniu i nie została odnaleziona”.

Czy ta akcja nie poszła za daleko? – Absolutnie, nawet zbyt szybko się skończyła – twierdzi Andrzej Pawlak, jeden z największych polskich wilczarzy (ponad siedemdziesiąt sztuk na rozkładzie). – Wprawdzie wilki strzelaliśmy i w drugiej połowie lat siedemdziesiątych i w całej dekadzie osiemdziesiątych, ale już tylko na organizowanych w sezonie polowaniach, z uwzględnieniem okresu ochronnego, jak w przypadku każdej innej zwierzyny łownej.

Wilki już nie były wyjęty spod prawa.

Azyl na szczytach Trójcy

– Ratuj moją głowę – powiedział drżącym głosem dyrektor Zarządu Budownictwa Leśnego Tadeusz Gołębiowski do Witolda Augustyna. Prosił go w ten sposób o objęcie kierownictwa trwającej od paru miesięcy budowy ośrodka łowiecko-wypoczynkowego dla Urzędu Rady Ministrów w Trójcy.

W 1973 roku rząd podjął decyzję o wykrojeniu kolejnej zacisznej enklawy dla własnych potrzeb. Tym razem na lokalizację przyszłego azylu wybrano położoną kilka kilometrów od Arłamowa Trójcę. Z dawnej zabudowy malowniczej wsi nad Wiarem do czasów współczesnych nie ocalało nic oprócz murowanej kapliczki. Do 1972 roku stała tu także zabytkowa greckokatolicka cerkiew pw. Świętej Trójcy, z 1763 roku, ale na osobiste polecenie goszczącego często w Arłamowie premiera Piotra Jaroszewicza została rozebrana, zaś przylegający do niej cmentarz – zrównany z ziemią. Dziś o ludnej niegdyś osadzie świadczą jeszcze, poza kapliczką, zdziczałe jabłonie i grusze rosnące na pustych posesjach spalonych domostw.

Pierwszym nowym budynkiem od wojennej zawieruchy był ten dla żołnierzy Nadwiślańskich Jednostek MSW, którzy „ustawili karabiny w cieniu zbóż”. Pracowali w polu i dokarmiali dziką zwierzynę, by rozmnażała się na potęgę. Zamknięty teren tzw. państwa arłamowskiego miał się stać – i rzeczywiście szybko stał się – myśliwskim eldorado dla partyjnych kacyków, głów państw i innych osobistości. Pokażny gmach w Arłamowie, którego wzniesienie zlecił jeszcze premier Józef Cyrankiewicz, budowało trzysta pięćdziesiąt osób, w tym specjaliści z Austrii, Włoch i Szwajcarii. Niespełna cztery lata później okazało się, że jeden ośrodek na styku Bieszczadów i Pogórza Przemyskiego już nie wystarcza...

W Trójcy, na południowych stokach góry Jaworów, miały powstać cztery dwupiętrowe wille na 34 miejsca, w których gościliby przede wszystkim dygnitarze gustujący w myślistwie. Takich ani w rządzie, ani w szeregach najwyższych władz KC PZPR nie brakowało, gdyż polowanie należało wtedy do dobrego tonu. Dodatkowo Trójca miała przyjmować w swoje progi polujących polityków wysokiego szczebla z zagranicy. Nic dziwnego, że na ośrodek łowiecki wybrano akurat ten rejon: ogromne lasy obfitujące w dzikiego zwierza, w tym w największe drapieżniki i „najmocniejsze” jelenie, rozpałał wyobraźnię i stwarzał szansę na zdobycie wymarzonych trofeów, o które było trudno w innych częściach Polski.

Budowę ośrodka powierzono ustrzyckiemu Zarządowi Budownictwa Leśnego. Zlecenie przekazano z jednostki nadrzędnej – Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Przemyślu. Inwestycja nie była wcześniej planowana, toteż spadła na ZBL niczym grom. Wytyczne były zaś jasne – wille w stylu zakopiańskim miały powstać w rekordowym tempie i być oddane do użytku pod koniec roku. Lecz jak ZBL miał to zrobić, skoro prowadził w tym czasie zaawansowane inwestycje w całym regionie, nie mógł ich przerwać, a rąk do pracy brakowało? Dyrekcję OZLP takie pytania nie tylko nie skłaniały do myślenia, ale wręcz irtowały. Skoro sam premier Piotr Jaroszewicz interesował się Trójcą, nie wypadało dywagować, roztrząsać, tylko brać się do roboty. Z szefem rządu, a jeszcze bardziej z jego protegowanym – pułkownikiem Kazimierzem Doskoczyńskim, zarządcą Arłamowa – lepiej było nie zadzierać. W przeciwnym wypadku należało się liczyć z utratą posady, a nawet wilczym biletem i brakiem szans na zatrudnienie w promieniu stu i więcej kilometrów, niezależnie od stopnia fachowości. Kto by aż tak ryzykował?

Augustyn miał być już czwartym kierownikiem budowy (poprzedników szybko się pozbywano, uznając, że praca idzie w żółwym tempie). – Zrobiło mi się Gołębiowskiego żal – wspomina – a poza tym zawsze rajcowały mnie ciekawe, nietypowe zadania. A to akurat takie było. Znałem ponadto kulisy sprawy, czyli podjazdową walkę toczoną przez ówczesnego dyrektora OZLP Czesława Hodóra z szefem ZBL. Hodór nie lubił Gołębiowskiego, chciał go pozbawić stanowiska, szukał na niego haka. Znali się od dawna i rywalizowali. Trójca była dla Hodóra oczkiem w głowie, chciał się wykazać przed Warszawą, licząc przy tej okazji na awans. I to mu się udało – w trakcie budowy poznał wiele wpływowych osób, które pomogły mu objąć fotel wojewody przemyskiego. Ale wcześniej, na naradach w siedzibie ZBL w Ustrzykach Dolnych, niejedną raz słyszałem, jaką presję na Gołębiowskiego wywierał jego zwierzchnik w sprawie Trójcy. Szef ZBL czuł, że albo szybko sprosta zadaniu, albo jego dni w zakładzie będą policzone. Dyrektor wiedział, że mam dużą praktykę w budowaniu drewnianych obiektów i pewnie dlatego wybrał właśnie mnie jako ostatnią deskę ratunku.

Po kilku dniach od pamiętnej rozmowy zetbeelowska świta na czele z dyrektorem oraz jego zastępcami Eugeniuszem Kamińskim i Tadeuszem Słońcem, a także w towarzystwie sekretarza PZPR Jerzego Ormowskiego i inspektora nadzoru Władysława Postołowskiego pojechała wraz z Augustynem i jego majstrem Edwardem Kaszowskim do Trójcy. Tam miał już czekać osławiony komendant Doskoczyński. To właśnie on wymógł na Hodórze przyspieszenie rozpoczętych i ślimaczących się robót, a tym samym znalezienie fachowca, który wreszcie ogarnie tę budowę i będzie trzymał ludzi „za twarz”. – Zaraz po nas przyjechał też Czesław Hodór, no i Tadek Mielniczek, który budował drogi wokół Arłamowa – wspomina Augustyn. – Ucieszył się, że będziemy razem pracować. Zналиśmy się od dawna, więc ni to żartem, ni to poważnie nawet mnie postraszył, że Doskoczyński to trudny partner i trzeba wiele cierpliwości oraz zimnej krwi, żeby nie popaść z nim w konflikt. Kiedy tak sobie gawędziliśmy, nagle nadjechał land rover. Wysiadł z niego rosły mężczyzna w myśliwskim kapeluszu. Od razu zrobił na mnie wrażenie, biła od niego pewność siebie, nawet buta. Dość oschle ze wszystkimi

się przywitał, a kiedy Gołębiowski mnie przedstawił, Dorskoczyński nieoczekiwanie huknął: – To dopiero teraz dajecie doświadczonego fachowca?! A gdzie byliście do tej pory?! I zaraz potem sygnął całą litanie pretensji do dyrektorów, których beszał jak gówniarzy, aż uszy wędły. Poczułem się fatalnie. Stałem jak osłupiały, a w głowie krążyła tylko jedna myśl: aleś się, brachu, dostał! I po co ci to, durny człowieku?

– Rozstaliśmy się bez pożegnania – relacjonuje dalej Augustyn. – Wszyscy byli totalnie przygnębieni, stali ze spuszczoneymi głowami, nikt się nie odzywał. Niektórzy dopiero teraz zaczęli wyciągać papierosy i nerwowo palić. Wtedy do mnie dotarło, że kiedy pułkownik przemawiał, a raczej po wszystkich jeździł jak po łysej kobyle, to paliłem tylko ja. Nikt mnie nie uprzedził, że Dorskoczyński tego nie cierpi, że palenie w jego obecności jest wręcz niedopuszczalne, ale – o dziwo – nie zwrócił mi uwagi. Może był zbyt zaaferowany bluzganiem na dyrektorów, a może nie chciał mnie na początku pognać? Potem jednak też się nie krępowałem, fajczyłem przy nim i nigdy słowa mi nie powiedział.

Władysław Postołowski: – Dorskoczyńskiego poznałem pewnego letniego dnia, kiedy ekipa z Sanockiego Przedsiębiorstwa Budowlanego kopała w Trójcy studnie. Dokładnie trzy. Byłem przy tej robocie kierownikiem. Ludzie kopali, a pod niebem latał w kółko helikopter. Zastanawiało mnie, co on tak fruwa, jakby czegoś pilnie wypatrywał. Parę godzin później na plac budowy podjechał terenowy samochód. Wysiadł z niego facet w kapeluszu. To był, komendant Dorskoczyński. Z niekłamaną dumą zwierzył się, że na pobliskim wzniesieniu ma zamiar wybudować ośrodek wypoczynkowy. Kiedy mi powiedział, że w kilku dużych obiektach ma mieszkać kilkadziesiąt osób, od razu mu przerwałem i oznajmiłem, że takie studnie, chociaż na kilkanaście metrów głębokie, w żadnym razie nie zapewnią regularnych dostaw wody. Słyszałem już co nieco o jego arogancji wobec wielu ludzi, ale nie zaprotestowałem, tylko zapytał, co robić. Wytłumaczyłem, że tu muszą powstać studnie głębinowe. I rzeczywiście po jakimś czasie takowe wykopano, zrobiło to specjalistyczne przedsiębiorstwo z Rzeszowa.



Tadeusz Gołębiowski, dyrektor ZBL, podczas wizyty w Zakopanem, gdzie negocjował warunki zatrudnienia górali przy budowie ośrodka w Trójcy
Fot. ze zbiorów Krzysztofa Potaczały

Nazajutrz po spotkaniu z pułkownikiem Witold Augustyn przeniósł swoje biuro z Ustianowej, gdzie ostatnio pracował, do Wojtkówki. Stąd miał tylko kilkanaście kilometrów do Trójcy, mógł więc być na placu budowy codziennie. I był od świtu do zmierzchu, a czasem jeszcze dłużej. Presja „góry”, by rządowy ośrodek ukończyć w rekordowym tempie, nie pozostawiała pola manewru. – Zgodziłem się, ale dzisiaj żałuję, straciłem za dużo zdrowia. Kiedy przedstawiono mnie Dorskoczyńskiemu, o nic nie pytał. Wiedział już o mnie wszystko: skąd pochodzę, jaką mam rodzinę, gdzie dotąd pracowałem, jak się sprawdziłem, czy lubię wypić. Burknął coś jedynie o tym, że jestem właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, a poprzednicy do niczego się nie nadawali. Było mi głupio, bo mówił o moich kolegach nieprawdę. Pomyślałem, że również moja przygoda z Trójcą nie będzie zbyt długa i przyjemna, skoro mam współpracować z takim autokratą.

Pierwsze dni w Trójcy nie nastrajały Augustyna pozytywnie. – Załoga składała się niemal z samych górali, bo budynki, jako się rzekło, miały być niby w stylu zakopiańskim. Tylko że oni za nic nie mogli się dostosować do wymaganego porządku. Jak ujarzmić odporne podhalańskie towarzystwo? Jak nauczyć ich dyscypliny, ładu i karności? Jak sprawić, by przychodzili do roboty trzeźwi i nie podskakiwali przy najmniejszej próbie zwrócenia im uwagi? Wykonywali głównie roboty ciesielskie, ale mieli też innych specjalistów. Przykładowo kominki murował Stasio Murzyniak, brązowy medalista Mistrzostw Polski w skokach narciarskich z 1966 roku. Zarówno on, jak i inni nazywali Bieszczady Ukrainą, co niepomrotnie mnie i moich robotników wkurzało, ale dla świętego spokoju woleliśmy się z nimi nie wadzić. Wyniknąć z tego mogła co najwyżej bijatyka.

Góralski styl bycia (i picia) kierownik budowy Trójcy znał bardzo dobrze, bo jeszcze w latach sześćdziesiątych jeździł jako werbunkowy na Podhale namawiać tubylców do



Tadeusz
Gołębiowski
w pogawędce
z góralami
Fot. ze zbiorów
Krzysztofa Potaczały

pracy w Bieszczadach i w Beskidzie Niskim. I wcale nie było to takie łatwe, ponieważ miejscowi nie ufali obcym, widząc w nich przeważnie ludzi chcących zaszkodzić ich spokojnemu bytowi i zarabianiu pieniędzy pod wierchami. – Nawet dowiedzieć się o kogoś, znając jego imię i nazwisko albo przydomek, nie było łatwo – sięga pamięcią Augustyn. – Stary bazarz góralski z Bukowiny Tatrzańskiej wraz z synem rzeźbili wiele detali do rządowych willi w Trójcy, ale zanim tam przyjechali, musiałem się mocno napocić. Kiedyś, w czasie jednej z moich wizyt na Podhalu, powiedziałem mu, że szukam cieśli. Podrapał się za uchem i odparł, że sam nikogo nie znajduję. Nie wiem dlaczego, ale postanowił mi pomóc. Był znany w całym regionie, nie budził podejrzeń, ludzie mu ufali. Nie zabrał się autem ze mną, ale napisał mi kilka adresów. Pojechałem do Cichego koło Czarnego Dunajca, gdzie pod wskazanym adresem miał mieszkać cieśla Stanisław Stasik. W domu zastałem kobietę w średnim wieku. Gdy powiedziałem, kogo szukam, wybałuszyła oczy i stwierdziła, że taki tu nie mieszka i w ogóle takiego nie zna. Spoglądała na mnie podejrzliwie, wypytywała, co tu robię i dopiero kiedy wyjawiłem, że jestem z polecenia starego bazarza z Bukowiny, zmieniła ton i zachowanie. Uprzejmościom nie było końca, zaprosiła mnie nawet na gościnę, racząc owczą wątróbką. Wtedy się dowiedziałem, że Stasik to jej mąż, że jest na robocie w sąsiedniej wiosce i że znajduję go konkretnie w takim to a takim miejscu.

Kiedy samochód z obcą rejestracją zajechał na podwórze, cieśle wiedzieli, jak mają się zachować. – Chciałem rozmawiać z panem Stasikiem – zagaił Augustyn. – Eee, tu takiego nie ma – odpowiedział mu pierwszy z brzegu góral. – A ty, Jędrzek, takiego znasz? – rzucił ów góral do kolegi. – Stasik? Stasik?... To nie u nas, może gdzie indziej. – A może ty wiesz, o kogo chodzi, Franiu? – Nie mam zielonego pojęcia... I tak wszyscy, chyba z sześciu, zaprzeczyli, jakoby nazwisko Stasik cokolwiek im mówiło. Kiedy Augustyn, już mocno podminowany, miał się zabrać, góral zapytał: – A kto was tu przysłał po tego Stasika? – A jego żona z Cichego. – O, sakramucka! – huknął Stasik (bo to był Stasik), a jakżeś się pan tam u niej znalazł?! – Przez bazarza z Bukowiny. – No, to co innego, bo już myślałem, żeś pan jakiś finans (urzędnik skarbowki) albo jeszcze gorszy.

I tak Stanisław Stasik trafił do Trójcy, gdzie wespół z innymi cieślami wznosił wille dla czerwonych prominentów. Trafili też w to urocze górskie ustronie Władysław Słodyczka i Franciszek Jakub, dawniej śmiertelni wrogowie, potem nierozłączni przyjaciele. Kierownik budowy poznał ich historię w czasie wypadu syreną 105 po wódkę do Birczy. Droga nie była daleka, za to jak durszlak, toteż jechali nie więcej niż trzydzieści kilometrów na godzinę. W tym czasie Władysław Słodyczka zwierzał się, jak to pewnego razu Franek i pięciu jego kompanów obili go do nieprzytomności w pogrążonej w ciemnościach wsi, jak boskim zrządzeniem losu natrafił na niego przypadkowy przechodzień i jak potem kilka tygodni przeleżał na szpitalnym łóżku, wylizując rany. Przesłuchującemu go milicjantowi nie pisnęła słowa o tym, kto go napadł i sponiewierał, zasłaniając się ówczesnym stanem głębokiego upojenia, a w rezultacie brakiem pamięci. Tymczasem w duchu obmyślał plan zemsty. Po opuszczeniu szpitala kurował się w chałupie jeszcze parę miesięcy. Jadł za dwóch, pił borsucze sadło

i ziołowe mikstury, smarowała go baba wszelakimi maściami, zawijała w baranie skóry. Aż któregoś dnia, niemal całkiem odnowiony, uznał, że przyszła pora na wyrównanie rachunków. Szybko poradził sobie z pierwszym na czarnej liście, potem z drugim i z następnymi, oprawiając im gęby niczym wytrawny rzeźnik, tylko Franka za nic nie mógł dopaść. Aż do czasu, kiedy ten wracał z gospody pijany jak bela, sławiąc śpiewem tatrzańską okolicę. Donośny głos Franka umilkł w momencie, kiedy zaczajony w rowie Władek wyskoczył lekko jak kozica i zdzielił go ciupagą przez łeb. Zalany krwią Franio padł na murawę i pewnie by tak leżał do świtu, gdyby nie góralska solidarność. Bo rachunki rachunkami, ale niehonorowo zostawić kamrata na pobojowisku. Kucnął więc Władek, zarzucił sobie Franka przez plecy i poniósł do chałupy, a raczej na jej próg. Potem łomotnął w drzwi i zniknął jak zjawa w mroku nocy, słysząc jeszcze przeraźliwy wrzask Franusiowej żony...

Od tej pory byli największymi kumplami. Razem robili, sprawiedliwie dzielili się pieniędzmi, nigdy się nie wadzili. A potrafilo pracować i szesnaście godzin na dobę, nadrabiając w ten sposób nierzadko dni, w których spływał na nich jesienny splin, a jedynym lekarstwem na jego przeczekanie była gorzała. W taki czas gigantyczna chandra dopadała większość górali, wszyscy na umór pili, niektórzy tłukli się z myślami czy nie pójść i nie powiesić się na najbliższym buku, ale zdarzali się wśród nich i tacy, którzy – jeśli już nie byli w stanie pracować na budowie – przynajmniej nie mitrężyli czasu. Choćby Jędrus, malarz amator, który do wody nie miał serca, więc wymyślił sobie, że pomaluje wewnątrz dwunastoosobowego baraku scenami z życia górali, nawiązując oczywiście do starych tradycji i obyczajów. Nieobca była mu też sztuka snycerska, toteż kiedy tylko mógł, chwycił za dłuto. Lecz kiedy się mieszka w grupie chłopów o przeważnie gorących temperamentach, rozpalonych głowach, i kiedy te głowy zbyt często nabuzowane są złością, pretensją i żalem, a rozum odmawia posłuszeństwa, wtedy może się zdarzyć wszystko. I tak właśnie pewnego dnia, tuż po wypłacie, w górali



Budowa willi...
Fot. ze zbiorów
Krzysztofa
Potaczały



Góralom praca szła sprawnie nawet wtedy, gdy musieli leczyć kaca

Fot. ze zbiorów Krzysztofa Potaczaly

wstąpił diabeł. Skłócili się, w ruch poszły pięści i noże, a upiększone przez Jędrka ściany baraku zabarwiły się na czerwono. Podobno drugi raz już nie próbował ich artystycznie przystrajać, mając na uwadze, że prędzej czy później jego dzieło i tak zostanie zniszczone. Wyrównywanie siłą krzywd, rachunków i nieporozumień było bowiem wpisane w pobyt górali w Bieszczadach niczym norma, zasada, a może nawet obowiązek.

Niedługo po objęciu budowy przez Augustyna w Trójcy zjawił się szef przemyskiego OZLP Czesław Hodór. – Myślałem, że pogadamy o robocie, a on mnie zaczął instruować, jak mam się zachowywać w stosunku do osobistości odwiedzających Trójcę. Poprosił mnie także, aby podczas takich wizyt pod-

kreślać jego rolę i osobiste zaangażowanie w budowę ośrodka. Czasami przyjeżdżał z Przemyśla codziennie, zwłaszcza kiedy wiedział, że na miejscu jest Dorskoczyński. Wszystkie sprawy w OZLP scedował na zastępców, a sam postanowił zająć się wyłącznie kontrolowaniem postępów budowy rządowych willi. Chciał pokazać, że wszystko potrafi załatwić. Wszystko i bez względu na koszty. Pilnował na przykład leśników, aby wybierali najdorodniejsze świerki, które końmi wyciągano z najdalszych zakątków nie tylko bieszczadzskich lasów i dowożono do Trójcy, gdzie przecierał je wojskowy trak.

– W Trójcy – mówi Augustyn – od początku prowadzono budowlaną partyzantkę. Wszystko musiało być robione na wczoraj. Zarówno Dorskoczyński, jak i Hodór naciskali na dyrektorów ZBL, wśród których niemal nikt nie miał większego pojęcia o technologii drewna i sztuce budowy w podhalańskim stylu (choć, jak zapewnia inspektor Postołowski, wille wzniesiono w stylu mieszanym: wprawdzie górskim, ale nie zakopiańskim czy podhalańskim). Dowożone świerki, z których ciekła woda, natychmiast przecierano i stawiano z nich ściany, co było kardynalnym błędem. Skutkiem tego wysychające płazy ściennie wykręcało w różne strony. Potem część z takich płazów trzeba było ze ścian wycinać i wstawiać inne. Kosztowało to masę pieniędzy, ale kto wtedy z decydentów liczył się z publicznymi pieniędzmi? Kiedy tłumaczyłem, że przetarte belki winny być co najmniej dwa lata sezonowane i dopiero wtedy użyte do budowy, nikt nie chciał słuchać; odpowiadano, że nie ma czasu na takie zawracanie głowy.

Albo inny przykład: potrzebną do wykonania ozdobnych lamp lipę wyszukano i ścięto aż pod Leżajskiem. Poradziłem Hodórowi, żeby zawieziono ten kłoc pod wskazany przeze mnie adres do Zakopanego, gdzie go odpowiednio przygotują. Oczywiście nie zgodził się. Powiedział, że lipa najpierw musi trafić do Trójcy, ja mam orzec czy nadaje się do wykonania lamp, a jeśli tak, to wtedy może zostać przetransportowana do Zakopanego. No to już sam chciałem pojechać pod Leżajsk, żeby zobaczyć tę ściętą lipę, ale mi nie pozwolił, bo według niego nie powinienem nawet na parę godzin ruszać się z budowy. Tymczasem równolegle prowadziłem budowę biurowca ZBL w Ustrzykach Dolnych, hotelu i dwóch osad w Wojtkówce oraz szkoły w Brzózce. Ale to już Hodóra nie obchodziło. Liczyła się wyłącznie Trójca.

Z monografii ZBL: „Budowa reprezentacyjnych obiektów łowieckich w Trójcy wraz z całym zapleczem energetycznym, wodno-kanalizacyjnym oraz siecią komunikacyjną, według projektu do końca nie sprecyzowanego przez specjalnego inwestora – wykazała, jak wielkie rezerwy tkwią jeszcze w załodze i jakiego wysiłku ludzkiego można dokonać w dramatycznej sytuacji. Zasadnicza trudność sprowadzała się przede wszystkim do braku wyprzedzenia w czasie, celem przygotowania do tego rodzaju złożonej budowli i jej wystroju (...). Projekty techniczne poszczególnych elementów budowy schodziły z desek projektanckich wprost na teren. Na tak surowy plac budowy wchodziły kolejno najlepsze brygady własne dla wyprowadzenia stanu zerowego obiektów, następnie, a prawie równocześnie, zespoły cieśli – górali z Zakopanego. Sprowadzono i uruchomiono na miejscu specjalny punkt przetarcia. Drewno świerkowe i modrzewiowe służyło z odległych terenów (...). Zainstalowanie heblarek i podobnych obrabiarek okazało się również nieuniknione. W miarę montażu ścian i więźby dachowej werbowani i angażowani byli kolejni rzemieślnicy z Zakopanego, tacy jak: stolarze, uszczelniacze »optycy«, kowale, kamieniarze i rzeźbiarze. Pomimo nasilonych już robót padały hasła o przyspieszeniu prac. Praca odbywała się z konieczności na



Na placu budowy:
na pierwszym planie inspektor Władysław Postołowski,
z prawej dyrektor OZLP w Przemyślu Czesław Hodór

Fot. ze zbiorów
Krzysztofa Potaczały

dwie zmiany lub na wydłużonym dniu. Organizacja wyżywienia oraz zakwaterowania i przewozów ludzi pochłaniała ostatnie środki i wysiłki budowlanych ZBL. Wreszcie wszystkie szczeble lasów państwowych zostały wciągnięte w tę orbitę, tworząc satelitarne system zarządzania. Na plac budowy przybył nawet podsekretarz stanu w Ministerstwie Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego mgr inż. Walenty Bartoszewicz. Siła napędowa przekraczała praktycznie i realnie możliwości organizacyjne na tych budowach. Robiło się w pewnych momentach ciasno, głośno i nerwowo. Szaruga jesienna i przymrozki w 1973 roku potęgowały kłopoty. Odprowadzenie wody, stemplowanie przepoków, nagrzewanie pod foliami, dopełniło kielicha goryczy”.

Tadeusz Mielniczek i Witold Augustyn nie schodzili z budowy, ZBL formował coraz to nowe brygady, przerzucał sprzęt, a zaopatrzeniowcy jeździli po Polsce w poszukiwaniu niezbędnych, acz trudno dostępnych materiałów. Jak w ukropie uwijał się także inspektor Postołowski, który wraz z Edwardem Kołodziejskim nieustannie kreślił szkice robocze, wprowadzał narzucone innowacje i biegał po budowie, by wszystko zagrało jak w zegarku.

„Dyrektorzy OZLP z Przemyśla (...) każdego dnia podkreślali słowem i czynem tempo robót włączając dodatkowo sprzęt z nadleśnictw i korygowali na swój sposób harmonogramy pracy. Meldunki o postępie robót (...) zatruwały do reszty życie ludziom i przeciążały linie telefoniczne. Sypały się gromy na wszystkich bez wyjątku, że aż się meldunki zagmatwały i sprowadziły kolejne interwencje i zamieszanie. Największą burzę przeżyli zetbeelowcy 9 listopada 1973 roku, kiedy to zastępca dyrektora NZLP inż. Ryszard Waław wraz z inwestorem – Pułkownikiem [Kazimierzem Dorskoczyńskim – przyp. K.P.], lotem błyskawicy przemierzali place budów i sieć drogową, grząc na słabe tempo robót. W wyniku takich oględzin wyznaczony został reżimowy termin zakończenia obiektów na dzień 16 grudnia 1973 roku. Koniec świata – pomyśleli, a potem powiedzieli sobie budowlani ZBL – nim ruszyli do dalszej roboty. Do czego doprowadzał czasem brak wycucia realiów i oceny możliwości technicznych i ludzkich. Wysiłkowi jednych nie zawsze towarzyszy w życiu życzliwość i rozważa drugich, ale za to często w wirze pracy znajduje schronienie tchórzliwość pozostałych. A tu samochody i sprzęt skoncentrowany ze wszystkich stron odmawiał posłuszeństwa, a dopływ różnych materiałów z wielu magazynów w kraju również zawodził (...). Grudzień tego roku był bardzo trudny i napięty – nikt już nie próbował odpoczywać”.

Pułkownik Dorskoczyński zachowywał się arogancko, pomijał zetbeelowską załogę, rugał majstrów i kierowników, nie żałował nawet wulgarnych słów dykcji, skarżąc się na zbyt wolne tempo prac. Tamten nerwowy czas wspomina na kartach książki Wiesława Białkowskiego „Arlamów bez kurtyny” nieżyjący już Edward Kustra, ówczesny szef działu technicznego, a później wicedyrektor do spraw budownictwa ogólnego ZBL: „Tylko ludzie młodzi, tacy jak ja wówczas, mogli znieść ten terror psychiczny [Dorskoczyńskiego]. Mnie najbardziej denerwowało, że temu wyścigowi z czasem towarzyszyło trudne do wyobrażenia marnotrawstwo materiałów i sprzętu. Nie szanowano też ludzkiego wysiłku (...). Rygorystycznymi sposobami kierowania budową zaraził się, chyba od Dorskoczyńskiego, także Czesław Hodór (...) Jego częste wizytacje na



Pułkownik Kazimierz Doskoczyński (po prawej) w Trójcy. Tyłem Tadeusz Mielniczek, budowniczy dróg wokół tzw. „państwa arlamowskiego”

Fot. ze zbiorów Krzysztofa Potaczały

budowie rodziły więcej zamieszania niż korzyści. Zarówno dyrektor, jak i pułkownik, a zwłaszcza ten drugi, starali się nawet ingerować w sprawy techniczne. Na szczęście ZBL miał dobrą kadre, która mimo ogólnego terroru nie godziła się na amatorszczyznę w robotach budowlanych”.

Władysław Postołowski: – Osobiście nie miałem z Doskoczyńskim większych problemów. Powiedziałbym nawet, że darzył mnie szacunkiem. Wiedziałem, że potrafi być w stosunku do ludzi

chamski, do mnie jednak zawsze zwracał się grzecznie. A przecież spieraliśmy się, przede wszystkim o sprawy konstrukcyjne. On często wymyślał jakieś zmiany, coś mu się tam w głowie roilo, a ja twardo stałem na ziemi i przeważnie odpowiadałem, że tak nie wolno, że trzeba się trzymać projektu, albo że dana innowacja spowoduje ogromne koszty. I komendant odpuszczał, nie irytował się. Być może uniknąłem jakichś utarczek dlatego, że nie przebywałem na budowie codziennie, tylko zazwyczaj raz, dwa razy w tygodniu po dwie godziny. Pułkownik był w Trójcy każdego dnia, bardzo pilnował tej budowy. A jak się na kimś chciał wyżyć, to zawsze znajdował takiego w pobliżu. Zarówno wśród robotników ZBL, jak też swoich podwładnych.

Z racji szefowania kilku budowom jednocześnie jej kierownik ze zrozumiałych względów nie zawsze zjawiał się w Trójcy o siódmej rano. Wtedy Doskoczyński chwycił za słuchawkę i dzwonił ze skargą wprost do ministra leśnictwa. Ten odwrotną drogą informował w trybie pilnym okręg, a Hodór, nie tracąc ani chwili, wsiadał w auto i pędził „na sygnale” do Wojtkówki albo i Ustrzyk w poszukiwaniu Augustyna. – Takich przypadków w trakcie wznoszenia rządowych willi miałem kilkanaście; na nic zdawały się moje tłumaczenia, że odpowiadam za wszystkie te inwestycje jednakowo i w razie problemów to mnie „góra” pociągnie do odpowiedzialności. „Ma pan rację, dlatego dam panu kilku zastępców, którzy skupią się na innych budowach, podczas gdy pan będzie siedział w Trójcy”, odpowiadał mi dyrektor OZLP. Nie godziłem się na takie rozwiązanie, nie przywykłem do tego, by coś zaczynać, a potem nie kończyć. Ambicja

mi nie pozwalała, dlatego dwoiłem się i troiłem, żeby tylko codziennie być na każdej budowie. W Trójcy schodziło mi najdłużej, często po ustawowych godzinach pracy, kiedy inni dawno leżeli z pełnymi brzuchami przed telewizorem.

Przy budowie dużych kubaturowo trójceckich willi zawierano z góralami umowy o dzieło. Ceny za zaplanowaną i wykonaną pracę, za jej poszczególne segmenty, były negocjowane. Łatwo te uzgodnienia nie przebiegały, gdyż podhalańscy fachowcy za każdą robotę „śpiewali” sumy wysokie jak Tatry, kilkakrotnie przewyższające te, które wyliczał inwestor. Zwykły cieśla potrafił dziennie zarobić więcej niż wynosiły miesięczne pobory kierownika budowy przy dwunastogodzinnym dniu pracy. – No, czy nie mógł człowieka szlag trafić?! – kręci głową Augustyn. – Ale żeby tylko to. Bywało, iż jednego dnia spisywałem z nimi umowę na daną robotę, wyliczając, ile dostaną za położenie metra kwadratowego podłogi, oni się godzili, a nazajutrz mówili prosto w oczy, że za taką cenę to oni nie kiwną palcem. I kazali podnieść stawkę o sto procent, grożąc, że w przeciwnym razie spakują walizki. Zdarzyło się raz czy dwa, że się wyklócałem, ale kiedy robota rzeczywiście stawała, przyjmowałem ich warunki – zgodnie z zasadą wprowadzoną przez wyższe szczeble, od premiera poczynając, że przy tej inwestycji nie liczą się koszty, lecz szybkość wykonania.

Górale potrafili doić państwową kasę z „dutków”. Kiedyś w jednej z willi pokręciło biegnącą u sufitu przez środek pomieszczenia główną belkę, nazywaną fachowo sosrębem. Pochodziła z mokrego świerka i zwyczajnie ją wykrzywiło. Żeby zlikwidować wadę, należało sprowadzić specja najwyższej klasy. Wynajęto znanego w Kościelisku cieślę Szczepaniaka, który z całą brygadą zjawił się po dwóch dniach w Trójcy, oczywiście nie swoim transportem, lecz autem wyekspediowanym z ZBL. Szczepaniak wyciągnął sosręb, popatrzył, pocmokał i zakomunikował kierownikowi, że owszem, zrobi belkę na cacy, ale za... dwadzieścia tysięcy złotych. – Oniemiałem. To była praca na jeden dzień razem z pomocą czeladników! Moja pensja wynosiła wtedy nieco ponad trzy tysiące złotych, a ten zażądał aż dwudziestu! I znowu sytuacja się powtórzyła – musiałem wypłacić mu kasę co do grosza, bo taka była decyzja przełożonych. Zresztą Hodór wielokrotnie mi powtarzał, żebym nie marudził, tylko godził się na wszystkie warunki stawiane przez górali. Skoro nie mogłem przemówić do rozsądku szefowi OZLP, postanowiłem porozmawiać z Dorskoczyńskim, podkreślając nie tylko fakt wielokrotnie zawyżonych wypłat dla zakopiańskich cieśli, ale też szczególnie znikomych na tym tle poborów dla robotników ZBL-u wykonujących równie ciężką, a często cięższą pracę. „Panie kierowniku, to pańscy pracownicy są dla nas bardzo drodzy, choć niewiele zarabiają. To oni są obciążeniem dla skarbu państwa. Górale zarobią, ale wszystko przepiją i tym samym zwrócą pieniądze do państwowej kiesy. Litr spirytusu kosztuje siedem złotych. Przelicz pan sobie”. Rzeczywiście, pułkownik miał rację. Chociaż nie całkiem, bo jednak kilku z góralskiej brygady zawoziło pieniądze do domu.

Fachmani z Zakopanego i okolic mieli wszystko na zawołanie. I traktowano ich delikatnie, żeby się czasem nie obrazili i nie rzucili roboty. Kiedy mieli ochotę chlać, to chlali, do domu raz na dwa tygodnie zawoził ich autokar ZBL, wypełniony co najwyżej do połowy. Ale i tu nikt nie liczył kosztów paliwa. Władysław Postołowski pamięta,



Mistrz ciesielski Szczepaniak, hardy góral z Kościeliska

Fot. ze zbiorów Krzysztofa Potaczały

że tuż przed wyjazdem do autobusu pakowano skrzynki z wódką i jedzenie. Kiedy tylko kierowca odpalił silnik, cieśle zaczęli biesiadę. I ucztowali tak aż do chwili, gdy szofer informował, że oto wjeżdżają do Zakopanego. Powtórka z rozrywki następowała po weekendzie. Kiedy górale dojeżdżali do Trójcy, byli niemal nieprzytomni, bo zawsze pili na umór. Nazajutrz odpoczywali, co ze zrozumieniem przyjmowało kierownictwo budowy, a nawet sam komendant Dorskoczyński, i dopiero następnego dnia stawiali się w pracy. Trzeba przyznać, że robili jak w transie, po kilkanaście go-

dzin. Z powodzeniem nadrabiali to, co wyleżeli, lecząc kaca.

Pośpiech, jaki podyktowano podczas wznoszenia willi, był nie do końca jasny. Szeregowi budowniczy zastanawiali się, dlaczego wszyscy – od premiera Jaroszewicza poczynając, a na dyrektorze OZLP kończąc – narzucili szaleńcze tempo prac i każdego dnia pilnowali, by nawet na chwilę nie opadło. Na miejscu, w Trójcy, największą presję wywierał oczywiście pułkownik Dorskoczyński. Zdarzało się wcale nierzadko, że kiedy coś nie szło po jego myśli – bluźgał, wściekał się, straszył konsekwencjami, wprowadzając tym samym na plac budowy atmosferę permanentnej niepewności i nerwowości. Długo skrywana tajemnica wyjaśniła się dopiero po oddaniu ośrodka do użytku, o czym później.

Tymczasem trwały roboty przy stropach. Powąły układano z desek modrzewiowych, przecieranych, sortowanych i suszonych w zakładach drzewnych w Rzepedzi. Miały to być deski wyłącznie bez sęków. Ale modrzew, tłumaczą eksperci, jest takim drzewem, któremu od samego odziomka wyrastają gałęzie, stąd właśnie ma w sobie dużo sęków. Jedyne z modrzewia rosnącego w gęstwinie, który osiągnie swój słuszny wiek, można uzyskać trochę „czystych” desek. – Górale dobrze wiedzieli, że z desek posiadających tzw. mocno wrosnięte sęki można układać strop – opowiada Augustyn. – Co więcej, sęki nawet ożywiały wygląd powąły, czyniły ją bardziej urozmaiconą, ciekawszą. Ale jak Dorskoczyński to zobaczył, natychmiast kazał wszystkie dechy zerwać. Oczywiście mnie zrugął, tłumacząc jednocześnie, że „premier Jaroszewicz uwielbia modrzew, ale bez sęków”. Na nic zdały się moje wyjaśnienia i próby przekonania, że z sękami

będzie jednak lepiej. Miałem jechać do dyrektora kombinatu w Rzepedzi i dokładnie przekazać wymagania komendanta Trójcy i Arłamowa w sprawie modrzewia. Teraz dyrektor tłumaczył, jak ciężka to rzecz znaleźć modrzewiowe deski bez sęków, ale poszliśmy razem na skład i z pomocą robotników wyszukaliśmy z trudem jakieś dziesięć procent materiału spełniającego wymogi postawione przez pułkownika. To było za mało na powały, toteż Daskoczyński nie przestawał szukać. Znalazł odpowiedni materiał w Iwoniczu Zdroju, gdzie minister leśnictwa budował sobie wymarzony dom z modrzewia, a gładkie jak stół deski, bez jednego cholernego sęka, dowożono mu... z zakładów w Rzepedzi. Potem pułkownik miał wielką satysfakcję, bo dla obu panów źle się to handlowanie skończyło. Sprawa ta przekonała mnie wtedy kolejny raz, że pierwszy łowczy PRL – jak zwano Daskoczyńskiego – i przyjaciel Jaroszewicza miał doskonały wywiad. Jak się na coś uparł, to tak musiało być.

Szadz osiadająca w górach na liniach energetycznych nierzadko skutkowała ich awarią. Przeciężone przewody nie wytrzymały i kładły się pod ciężarem lodu. Częste zimowe braki w dostawach prądu powodowane były także nawiedzającymi ten rejon Polski wichurami, kiedy łamiące się jak zapalki drzewa z trzaskiem spadały na przeciągnięte w powietrzu druty. Właśnie te problemy były przesłanką do zbudowania w Trójcy elektrowni o mocy stu pięćdziesięciu kilowatów, która już po minucie przerwy w dostawie prądu miała się automatycznie włączyć i dostarczyć energię elektryczną do vipowskich willi oraz budynków kwaterunkowych funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu. Decyzja o budowie elektrowni zapadła dość późno, roboty rozpoczęto pod koniec października 1973 roku, a już w listopadzie spadł śnieg i ścisnął mróz. Do grudnia wykonano stan surowy, więc resztę robót można było prowadzić wewnątrz obiektu, choć panujące tam warunki były koszmarnie.

Augustyn: – Pomieszczenia ogrzewaliśmy kosiakami, bardzo szkodliwymi dla zdrowia. Musieliśmy tam przebywać przez osiem i więcej godzin w gryzącym dymie. Kiedy



Studnia z żurawiem
bardzo ucieszyła
komendanta
Daskoczyńskiego
Fot. Witold Augustyn

już nie wytrzymaaliśmy, otwieraliśmy na oścież drzwi i okna, a wtedy momentalnie atakowało nas ostre styczniowe powietrze. Kiedy ktoś miał na rękach mokre lub tylko wilgotne rękawice, w jednej chwili zamarzały. Jeśli dodać do tego brak porządných narzędzi, ubrań i gumofilców, nic dziwnego, że moi podwładni klęli pod nosem, nie chcieli pracować, a któregoś dnia się zbuntowali. Wszelkie pretensje skupili na mnie. Na nic się zdały tłumaczenia, że też marznę, duszę się drażniącym nozdrza, gardło i oczy dymem; że codziennie składam w dziale zaopatrzenia ZBL zapotrzebowanie na narzędzia i odzież, a tam mi odpowiadają, że im przykro, ale nie dysponują. Doszło między mną a załogą do kłótni, której świadkiem był przypadkowo dyrektor Gołębiowski. Przyjechał na budowę ocenić postępek prac, a zastał grupkę skaczących sobie do gardeł ludzi. Teraz nagle na niego skierowała się nasza złość. Robotnicy trochę się bali, ale sam nie żałowałem gorzkich słów. Wyrzuciłem z siebie całą litanie pretensji. Sądziłem, że mnie wysłucha i razem się zastanowimy, jak uporać się z kłopotami, ale nie. Jak nie wyskoczy, jak nie ryknie, że to wszystko moja wina. „Skoro jesteście tu kierownikiem, to powinniście sami sobie poradzić, chociażby pożyczając narzędzia na innych budowach i kierownictwach!”, wrzeszczał, a ja miałem ochotę go udusić albo rzucić to wszystko w diabły. W jednej chwili przypomniało mi się, ile w tych Bieszczadach zdrowia zostawiłem, jakich zadań pozornie nie do wykonania się podejmowałem. Tymczasem człowiek, który jeszcze niedawno prosił mnie o objęcie szefostwa Trójcy, teraz beształ mnie jak smarkacza. Na odchodnym fuknął jeszcze, że tempo robót jest za słabe, wsiadł do służbowej czarnej wołgi i zniknął za zakrętem.

Kiedy Augustyn z brygadą stali tak osmaleni od dymu, przemarznięci i wściekli na cały świat, od strony Birczy nadjechał szef OZLP Czesław Hodór. Tym razem on wysłuchał narzekań. – Powiedziałem, że nie mam czasu, jak mi radzi Gołębiowski, jeździć po Bieszczadach albo w województwie za sprzętem i odzieżą ochronną, bo muszę być od rana na budowie. A kiedy do dziewiętej mnie nie ma, bo prowadzę jeszcze inwestycje w Wojtkówce i Ustrzykach, to Doskoczyński dzwoni ze skargą do ministerstwa. Hodór potwierdził, że takie skargi się zdarzały, wyjął notes i kazał dyktować, co nam w Trójcy potrzeba. Kiedy notował widziałem, jak krew odpływa mu z twarzy. Nic już nie mówił, podał mi rękę i odjechał.

Trzy godziny później Trójcę ponownie odwiedził szef ZBL. Ku zdumieniu załogi wyładował z bagażnika wołgi wszystko to, co wcześniej zapisał w kajecie Hodór, między innymi nowe kielnie, pace, młotki murarskie, gumofilce, rękawice i parę innych niezbędnych rzeczy. – Już zdążył ochłonać, bo tym razem był spokojny, a nawet uprzejmy – pamięta Augustyn. – Na pożegnanie dodał, by odtąd ze wszystkimi sprawami dotyczącymi zaopatrzenia zwracać się bezpośrednio do niego. Aż kilka dni później gruchnęła wieść, że Tadeusz Gołębiowski poleciał ze stanowiska. Zdumiałem się, bo mimo nierzadkich nieporozumień, różnic zdań, nie zasługiwał on na takie potraktowanie. Jednak Czesław Hodór, mając na uwadze ośrodek w Trójcy, tak istotny dla ludowej władzy, nie miał problemów z uzyskaniem poparcia w szeregach PZPR dla pozbycia się podwładnego. Przy okazji wygrał też osobistą wojenkę.

Dla jeszcze większego podkreślenia tempa robót Witoldowi Augustynowi przydzielono do pomocy pluton trzydziestu żołnierzy pod dowództwem majora Barana. Oficer ten, jako przyboczny Daskoczyńskiego w Arłamowie, nie mógł narzekać ani na warunki, ani na pieniądze, ale w stosunku do kierownika budowy chciał pełnić nadrzędną rolę. Uważał, że skoro ma przed sobą szeregowe rezerwy, to może mu rozkazywać, z tego też powodu już w pierwszych dniach współpracy doszło między obydwojma panami do spięć, które powtarzały się jeszcze parokrotnie. – Szybko przestałem na niego w ogóle zwracać uwagę, bo żołnierze zajmowali się podrzędnymi pracami i nic mnie to nie obchodziło. Baran w końcu musiał odpuścić, zajął się swoimi wojakami i starał się nie wchodzić mi w paradę. Do czasu, kiedy poinformował mnie, że pułkownik zlecił jego ekipie wylanie w piwnicy głównego budynku posadzki o grubości czterdziestu centymetrów. Zdziwiłem się, nie mogłem uwierzyć, że Daskoczyński kazał zrobić tak grubą wylewkę. Pewnego dnia wpadł na budowę sam pułkownik i wizytował przebieg robót. W końcu wszedł do tej piwnicy, gdzie posadzka była na ukończeniu. Zagadnąłem, że szkoda, iż tyle betonu poszło na tę wylewkę, gdyż grubość ta niepotrzebnie „ukradła” wysokości pomieszczeniu, w którym chciałem zrobić coś na wzór zbójnickiej jaskini. Ściany z opałów świerkowych, sufit z nieobrzynanych i nieheblowanych desek, kamienny kominek, zejście po schodach wydlubanych w grubym pniu, stoły, ławy i taborety z przetartych na pół i mocno opalonych bali, a szyby w oknach zdobione witrażami z góralskimi scenami i dodatkowo podświetlane. W sekundzie dojrzałem, jak Daskoczyńskiemu zapaliły się oczy. W tej samej chwili rozkazał majorowi Baranowi, by do jutra pozbył się posadzki. Za tę grubość betonu jeszcze go od baniaków i innych gorszych zwyzywał.

– Komendant Arłamowa pomiatał majorem Baranem – opowiada Władysław Postołowski. – Tyrał nim, ganiał, obrażał, i to przy osobach postronnych. Sam parokrotnie byłem świadkiem takich scen. Wyglądało to tak, jakby chciał podkomendnego upokorzyć w taki brzydki, prymitywny sposób. Inna rzecz, że Baran był donosicielem. Pułkownik kazał mu zdawać sprawę z najdrobniejszych szczegółów dziejących się na budowie i w otoczeniu, być uchem i okiem. Myśmy o tym doskonale wiedzieli, nie baliśmy się zresztą, bo o niczym podejrzanym się nie rozmawiało. Pochłaniała nas robota i tyle.

Major Baran nader często podpadał komendantowi, ale poniższa historia przyczyniła się do jego „zdymisjonowania” z zajmowanej funkcji, zdegradowania i w konsekwencji wygnania z Arłamowa. – Kiedyś Daskoczyński nakazał mu, aby żołnierze wyczyścili pochłapane cementem i zakurzone kominki w willach – wspomina Augustyn. – A że Baran widział, jak moi robotnicy czyścili posadzki z terakoty roztworem kwasu solnego, wydumał, że tak samo można potraktować inne elementy budynku. Przywołał kilku „szwejów”, a ci na jego polecenie opędzłowali wymurowane przez Murzyniaków kominki. W dodatku nie roztworem, ale czystym kwasem solnym! Potem spłukali je wodą, ale było już za późno... Akurat byłem na naradzie w ZBL w Ustrzykach Dolnych, przywołano mnie do telefonu. Adiutant Daskoczyńskiego, młody porucznik,

Zniszczony przez
żołnierzy kwasem
solnym kominek
z rzeźnego kamienia
w trakcie rozbiórki
Fot. Witold Augustyn



nakazywał mi natychmiastowy powrót do Trójcy. „Komendant chce pana widzieć”, usłyszałem. Wczesnym popołudniem byłem na budowie. Jak zobaczyłem te kominki, to mi ręce opadły, ale jak je zobaczył Daskoczyński, wpadł w szał. Złość najpierw wyładował na Bogu ducha winnych żołnierzach, dopiero później przyszła kolej na majora Barana. Podobno żołnierze wiedzieli, że jego wymysł zakończy się karczemną awanturą, ale celowo się nie odzywali, bo swego przełożonego nie lubili i tylko czekali na okazję, aby ktoś go porządnie „objechał”. Trzy kominki warte były kilkadziesiąt tysięcy złotych, kamień na nie wyszukano w jakimś tatrzańskim strumieniu, transportowano setki kilometrów, a teraz, po rozebraniu kominków, nadawał się tylko do wyrzucenia. Wezwany przez umyślnego majora Barana przybiegł na galaretowatych nogach, chyba czuł, co go czeka. A pułkownik, jak to miał w zwyczaju: „Ty baniaku! Samo twoje nazwisko wskazuje, żeś jest głupi jak baran! Ja cię zdegraduję, ja cię stąd wypierdolę!”. I rzeczywiście, nazajutrz majora już ani w Trójcy, ani w Arłamowie nie było i nigdy potem się tutaj nie zjawił.

Demontaż drogich kominków i ponowna ich budowa nie mogła pojawić się w dokumentach kierownika ZBL odpowiedzialnego za Trójcę. Świadczyłoby to o jego odpowiedzialności i mogło się stać przedmiotem dochodzenia prokuratorskiego. Wiedział o tym doskonale Daskoczyński, nie chciał zachować się jak świnia, dlatego ponownie wynajął Murzyniaków, ponownie sprowadził kamień z bystrego strumienia i osobiście za wszystko zapłacił.

Projekt „zbójnickiej piwnicy” zafascynował pułkownika. Odtąd każdego dnia poświęcał czas tejże wizji, szczególną uwagę skupiając na detalicznych wręcz planach wystroju wnętrza. Chciał, by ta niby jaskinia stała się ulubionym miejscem wieczornych spotkań trójceckich gości, toteż postanowił zadbać o wszystko osobiście. Kiedyś pojechał do Zakopanego, by na miejscu omówić z lokalną malarką witraży co powinny przedstawiać i w jakich proporcjach. Przeprowadzał także rozmowy z wieloma innymi

artystami, przy czym żadna nie należała do łatwych i przyjemnych, ponieważ żądali oni za swoje usługi astronomicznych kwot i jeszcze dyktowali terminy. W takich sytuacjach przystępowano do długich i uciążliwych rozmów, które Daskoczyński scedował na Augustyna. Ten zaś musiał użyć wszystkich swoich talentów, by przekonać opornego i niebywale łasego na mamonę górala (góralkę), że proponowana cena jest wzięta z sufitu. Czasem należało też użyć podstępów i posłużyć się kłamstwem (że inny artysta obiecał zrobić taniej, a jeszcze namawiał, by nie iść do sąsiada, bo to co najwyżej rzemieślnik). Dopiero wtedy co niektórzy odpuszczali, godzili się na mniej „dułków”, gdyż mieli swoją góralską ambicję i chcieli koniecznie pokazać rywalizującym z nimi twórcom, że są od nich lepsi.

Zejsście do „zbójnickiej pieczary” w Trójcy musiało być tajne (bo przecież zbójnicy się ukrywali), więc w podłodze sali kominkowej zrobiono właz (klapę podnoszoną zamontowanymi w niej dwoma rzemieniami). Teraz należało już tylko wykonać wyciosane w grubym kłocu schody. Augustyn określił jego grubość i skrzywienie, doradził nawet, że najlepsze „okazy” można znaleźć w lasach na terenach osuwiskowych. Dla poszukiwania materiału dyrektor Czesław Hodór postawił w stan gotowości nadleśniczych w całym okręgu. W końcu kilka takich ściętych drzew zwieziono do Trójcy, gdzie po analizie wybrano najbardziej odpowiednie. Tylko jak taki potężny kloc przeciągnąć do piwnicy i ustawić? Głowili się nad tym budowlani i żołnierze, lecz nikt nie znalazł sposobu. W końcu Augustyn stwierdził, że jedyna możliwość to rozebranie drewnianej ściany, co de facto oznaczało jej zniszczenie i konieczność stawiania od podstaw. Nie była to bowiem zwykła ściana zbita gwoździami, ale łączona według technologii stosowanej wyłącznie przez podhalańskich cieśli. – O tym problemie poinformowałem Daskoczyńskiego, nie chciałem, żeby potem na wszystkich kurwował. Posłuchał, klepnął się w udo i ryknął: „A ja panu pokażę, że tego kłoca wciągnę do środka bez burzenia ściany!”. I parę dni później przyjechał do Trójcy z żołnierzami Starem 66 z lebiódką i bez większych ceregieli zaczął operację. Na każde skrzygnięcie truchlałem, bo budynek drżał w posadach, istniało niebezpieczeństwo zsunięcia go z fundamentów. Ale jak pułkownik coś postanowił, musiało tak być. I udało mu się, kloc wciągnięto, ustawiono, gdzie trzeba, a nazajutrz górale wyrąbali w nim stopnie.

Murzyniaki wymurowali ogromny, niekopący kominek. Zrobiono stoły, ławy, taborety – tak ciężkie, że nawet krzepki chłop nie zdołałby żadnego z nich samodzielnie podnieść. W rogu „jaskini” stanęła wyciosana według dawnych wzorów kolebka. Jej wnętrze wyścielono sianem, na nim położono wystrugane w drewnie dzieciątko. A góralki, które jakiś czas w charakterze artystek pracowały w Arłamowie, uszyły laleczce ubranko i kołderkę. – Kiedy tę kołyskę zobaczył Daskoczyński, zaniemówił – opowiada Augustyn. – Po chwili stwierdził, że tu nikt Bożego Narodzenia obchodził nie będzie i kazał ją zabrać. Panie pułkowniku, powiedziałem, to nie jest zwyczajna kolebka. Otóż ma ona szczególne zadanie. Pod siennikiem będzie zawsze leżeć półlitrowka przedniej wódki. Jeśli któryś z pańskich gości podejdzie do łóżeczka i przez chwilę polula dzi-dziusia, to wtedy pan wyjmie butelkę i da mu w podzięce, że niby od bobasa. A jeżeli nie polula, to za karę sam będzie musiał postawić flaszkę. Strasznie się to Daskoczyńskiemu

spodobało. Podobno pierwszym, który otrzymał gorzałkę od niemowlaka, był premier Jaroszewicz, a pierwszym, którego spotkała kara, marszałek Jugosławii Josip Broz Tito. Przynajmniej tak mi opowiadał pułkownik i zawsze się przy tym zaśmiewał.

Zanim nastąpiło, co nastąpiło, Jaroszewicz zjawił się w URM-owskim ośrodku w pojedynkę. Postanowił przed wizytą wielkiego gościa z Bałkanów osobiście sprawdzić, jak prezentują się góralskie wille. Od początku chciał, by nie wyglądały luksusowo, a raczej surowo, co nie znaczy bez smaku. Nakazał na przykład, by ściany pokoi (jedno- i dwuosobowych) wykonać z nieoheblowanych bali modrzewiowych. Pokoje wyposażono ponadto w stylowe meble i udekorowano motywami myśliwskimi. Szeff rządu dokładnie obejrzał każdy budynek, każdy w nim zakamarek, włącznie ze „zbójnicką piwnicą”. Nie krył zadowolenia, kadził Dorskoczyńskiemu, a ten po cichu liczył na generalski awans. Na cześć premiera wydano uroczysty obiad. Wśród wielu przygotowanych przez arłamowskich kucharzy wiktuałów pojawiły się między innymi dania z dziczyzny, a także barszcz z uszkami faszerowanymi borowikami. Do stołu zaproszono tylko najwyższych rangą oficerów i kilku towarzyszących szefowi rządu cywilów. Zaczęli zajadać zupę, aż tu nagle, rzecz niemal nie do uwierzenia, w suficie pękła deska, a do talerzy posypały się, niczym manna, modrzewiowe trociny. Podobno Jaroszewicz tylko spojrział w górę i zachował spokój, co oznaczało, że nie potraktował tego incydentu jak sabotażu. Za to Dorskoczyński... – Znalazł mnie w Wojtkówce i ryczał jak bawół, że nie dopilnowałem, aby cieśle przed położeniem podłogi na poddaszu dokładnie oczyścili strop – mówi Augustyn. – Kiedy nieco ochłonął, jeszcze wysapał: „Masz szczęście, że premier nie chciał sobie psuć nastroju, w przeciwnym razie miałbyś się z pyszna”.

W bardziej przytulnej niż Arłamów Trójcy chętnie spędzali wolny czas cywilni i mundurowi notable, przede wszystkim Edward Gierek i „ojciec chrzestny” ośrodek Piotr Jaroszewicz. Pierwszym gościem zza żelaznej kurtyny był prezydent Francji Valéry Giscard d'Estaing. Przyjeżdżających na wypoczynek witała zawsze góralska kapela złożona z kilku muzykantów i ośmiu tancerek. Sprowadził ją z Podhala oczywiście pułkownik Dorskoczyński, który lubował się w góralskim folklorze. Zespół umiał gościom pobyt także wieczorami, kiedy ci siedzieli przy suto zastawionych stołach, spożywając pieczeń z dzika nadziewaną śliwkami lub inne specjały. Kapela regularnie przygrywała także w Arłamowie. Obydwu ośrodków strzegli funkcjonariusze BOR, służyli w nich ponadto żołnierze zaznajomieni z fachem gastronomicznym i hotelarskim. Wszyscy oni byli młodzi, wyposzczeni, wieczorami się nudzili, nic więc dziwnego, że szybko zawarli bliższą przyjaźń z urodziwymi tancerkami, przez co po pewnym czasie położyli kres działalności owej tanecznej grupy. Osiem góralek, jakby się umówiły, zaszło w ciążę, a niepokieszony komendant musiał je odesłać do domu...

Ktoregoś roku Gierek i Jaroszewicz z rodzinami zjedli w „zbójnickiej piwnicy” nawet wigilijną kolację. Do stołu zaproszono także komendanta Dorskoczyńskiego. Była barwnie ozdobiona jodłowa choinka z gwiazdą betlejemską na czubku, prezenty, było sianko pod obrusem, smażony karp, barszcz z uszkami, pierogi z grzybami, kutia, a nawet opłatek sprowadzony przez umyślnego z najbliższej parafii. Lala w kołyse imitowała



Jedna z rządowych willi jeszcze przed przekazaniem Urzędowi Rady Ministrów
Fot. Witold Augustyn

malutkiego Jezuska. Partyjni przywódcy łamali się opłatkiem, składali sobie życzenia, a potem – świadkowie biją się w piersi – śpiewali kolędy. Zarówno pierwszy sekretarz, jak i premier doskonale pamiętali je z dzieciństwa, tak samo jak ich żony, i najpewniej, kiedy święta obchodzili w stolicy, również nie odmawiali sobie kolędowania.

Tito zawiątał do Trójcy w marcu 1975 roku. Wcześniej na miejsce przyjechała masa żołnierzy, oficerów i ochroniarzy, nie tylko polskich. Przeczesywali teren, sprawdzali każdy zakamarek. Ruch był jak w ulu, bieganina, pokrzykiwania. Wojsko zagnano do porządkowania otoczenia trasy, którą miał przejeżdżać marszałek. Wtedy nierzadko gnój leżał na podwórzach właśnie od strony szosy, dlatego żołnierze musieli cały obornik, z wielu gospodarstw paru wiosek, poprzemnieść widłami na tyły domostw. Gorzej było z gnojówką, która od wieków spływała do przydrożnych rowów. Ale i na to znaleziono sposób, pokrywając gnojowiska darnią. Wszystkie wychodki schowano w niewidocznych z drogi miejscach, zaś stopy odchodów rozplantowano i zakryto zielenią. Usunięto stare, powykrzywiane i połamane płoty, naprawiono i odmalowano elewacje domów. Takie oto przymusowe generalne sprzątanie przeżyli między innymi mieszkańcy Kuźminy, Trzcianca, Wojtkowej, Wojtkówki (gdzie na placu budowy osiedla dla leśników nakazano usypanie piasku i żwiru w regularne pryzmy) czy Jureczkowej. Wyszło im to zresztą na dobre, bo za jednym zamachem mieli wokół gospodarstw idealny porządek, co nie należało w owym czasie do powszechnego obyczaju.

Ośrodek Łowiecko-Wypoczynkowy w Trójcy przekazano Urzędowi Rady Ministrów zgodnie z planem 16 grudnia 1973 roku. Kto się łudził, że URM zapłaci za zbudowany

mu zaciszny azyl choćby złotówkę – grubo się mylił; całość pieniędzy pochodziła z budżetu Lasów Państwowych. Leśnicy i budowlańcy z ZBL postawili za firmową kasę wygodne wille, w których nie mogli wypoczywać, bo były przeznaczone wyłącznie dla partyjno-rządowej „wierchuszki”. Podczas „wręczania kluczy” nie było wielkiej fety, a jedynie podpisanie dokumentów i nagrody pieniężne dla Witolda Augustyna oraz Władysława Postołowskiego (plus minus jedna czwarta miesięcznych poborów). Jeszcze w trakcie robót miejsce zdymisjonowanego Tadeusza Gołębiowskiego zajął Eugeniusz Kamiński. Także i on musiał toczyć niełatwe boje z Czesławem Hodórem oraz wysłuchiwać nieustannych skarg chimerycznego Kazimierza Daskoczyńskiego, który nigdy z niczego do końca nie był zadowolony. Nikt wtedy nawet nie śnił, że pułkownik będzie chciał niebawem zagarnąć połowę Bieszczadów. Kiedy więc dyrektor ZBL oddychał z ulgą, że oto kończy się jego krótka, lecz uciążliwa współpraca z komendantem Arłamowa, ten już planował lokalizację trzeciego w regionie rządowego ośrodka, tym razem w Muczmem.

Hotel pod Jeleniowatym

– Zamieszkacie wreszcie jak ludzie, nie jak szczury – zakomunikowali robotnikom urzędnicy i ujawnili projekt budowy komfortowego hotelu na sto miejsc w dziewiczym Muczne. – Sami go sobie zbudujecie, to i będziecie dbać.

Plan podpisano na początku lat siedemdziesiątych w Okręgowym Zarządzie Lasów Państwowych w Przemyślu. Miała to być jednocześnie tysięczna inwestycja wykonana w Bieszczadach przez Zarząd Budownictwa Leśnego. Szybko stała się oczkiem w głowie decydentów sięgających resortu leśnictwa, a do jej wykonania rzucono najlepszych ludzi. Ale zdarzyło się tak dopiero wówczas, gdy od roku trwał już cykl budowy, a w miejscu przyszłego hotelu ciągle rosła trawa.

Na kierownika budowy wyznaczono Witolda Augustyna. Jak mało kto był otrząskany z bieszczadzskimi warunkami, więc i tym razem nie przestraszył się zadania. Codziennie ze swoją brygadą dojeżdżał trzynaście kilometrów ze Smolnika nad Sanem do Muczne, gdzie należało przygotować niezbędną infrastrukturę: baraki dla robotników, stołówkę, biuro, szopę na materiały.

Muczne, podobnie jak wiele innych miejscowości, w wyniku wojny, walk z Ukraińską Powstańczą Armią, akcji „Wisła” i korekty granic – przemieniło się z ludnej i gwarnej wsi w miejsce na mapie, gdzie częściej można było napotkać wilka niż człowieka. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych nikt tu nie mieszkał na stałe, a jedynymi ludźmi koczującymi dłużej niż kilka dni – jak choćby szukający wrażeń turyści – byli wypasający owce górale. Pasły się one na rozległych łąkach, kosiły opuszczone pastwiska, włąziły na zarośnięte chwastami greckokatolickie cmentarze, deptając głowy nieboszczyków, powalając rozchwiane krzyże i znacząc odchodami piaskowcowe lub tylko ziemne mogiły...

Był to czas, kiedy zetbeelowcom pomagali na budowach więźniowie z licznych w Bieszczadach półotwartych zakładów karnych, tzw. oddziałów zewnętrznych. Podobnie jak wcześniej żołnierze z Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a następnie Ochrony Terytorialnej Kraju, pracujący przy budowach dróg (między innymi bieszczadzkiej obwodnicy), tak teraz skazani machali łopatami i kilofami, biegali z taczkami wyładowanymi cementem i ceglami na równi ze stałymi robotnikami. Od wiosny 1972 roku przy wznoszeniu sezonowych baraków, leśniczówki i hotelu pracowało

Takiej Polski już nie ma. I takich Bieszczadów już nie ma. Nie ma też wielu spośród tych, dla których stały się one miejscem pracy, przygodą, pojedynkiem z samym sobą i dziką naturą. Zjeżdżali tu za pieniędzmi, ale też za wolnością – żeby się sprawdzić i odnaleźć sens życia. Niezliczona rzesza nazwana bieszczadzkiemi pionierami.

Ta książka jest o nich – przedzierających się przez wąwozy, potoki i błoto, moknących w deszczu na rozgrzebanych budowach, marzących zimą w „podszytych wiatrem” barakach. Jest dokumentem o ludzkiej przyjaźni, rywalizacji, marzeniach, sile i słabości.

To również opowieść o dygnitarzach polujących na żubry i niedźwiedzie, o tajemnicach rządowych ośrodków wypoczynkowych, o wymazywaniu z publicznej przestrzeni rdzennych nazw miejscowości. Oraz o tym, jak mieszkańcy przygranicznych terenów Polski i ZSRR bratali się przy wódce na plenerowych wiecach i jak chłopcy w Bieszczadach podnieśli bunt przeciw ludowej władzy, organizując słynny na cały kraj protest.

Jest też niniejsza publikacja wspomnieniem górali, współtworzących bieszczadzką mozaikę, szoferów ciężarówek, którzy niemal nigdy nie prowadzili swoich maszyn na trzeźwo, poławiaczy węży chwytających jadowite gady gołymi rękami, myśliwych zmagających się z wilczymi watahami...

Jeden z reportaży przypomina historię zburzenia pomnika Stalina w Ustrzykach Dolnych, inny rozjaśnia mroki banderowskich bunkrów i mogił, kolejny opowiada o grabieży i niszczeniu ocalałej z wojny sakralnej substancji. Wreszcie obszerny rozdział poświęcony jest najbardziej kontrowersyjnej postaci peerelowskiego okresu w Bieszczadach – pułkownikowi Kazimierzowi Doskoczyńskiemu. Skąd pochodził, jaki był w głębi duszy i co zamierzał?

21 barwnych opowieści, dziesiątki bohaterów, ponad sto czarno-białych fotografii.